

ZAKRYTE LUSTRA

WIANKI I WIANO

EWA CIELESZ

ZAKRYTE LUSTRA
WIANKI I WIANO

TOM 2



AXIS MUNDI

*Składam serdeczne podziękowanie pani Sewerynie Galus-Słowińskiej
za poświęcony mi czas, udostępnione materiały i podzielenie się
rodzinnymi wspomnieniami, którymi inspirowana jest ta powieść.*

Copyright © 2023 by Ewa Cieleśz
Copyright for this edition © 2023 by Axis Mundi

REDAKCJA I KOREKTA: Agnieszka Sabak
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski
SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I

ISBN: 978-83-66451-24-7
EAN: 9788366451247
ISBN E-BOOK: 978-83-66451-25-4

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



To takie irytujące, gdy nie można zacząć mówić, gdy zaciska się gardło. Tymczasem on patrzył na nią, jakby chciał wydrzeć z jej głowy wszystkie skotłowane myśli, wygładzić je na kolanie, przeczytać. Nie uśmiechała się, lecz układała usta w taki sposób, by uchodzące z nich słowa nie raniły. Mimo to wiedziała, że zada mu ból. A on wciąż doszukiwał się nadziei w najślabszym drgnieniu kąćków ust, w najdrobniejszej iskieierce oczu.

– Nie powinienes tu przyjeżdżać – szepnęła wreszcie. Jej gorący oddech sfrunął mu na policzki, musnął jak czuła dłoń, jak pocałunek. Pragnął, by tak było.

Antonina jednak spoglądała zimno, z naganą. Połyskujące w blasku świecy rdzawe sprężynki włosów podskakiwały niepokojnie, gdy potrząsała głową. – Nie powinienes nawet teraz, pod osłoną nocy.

– Musiałem cię zobaczyć – chwycił jej dłonie i przylgnął do nich wargami. – Tęskniłem... Nikt nie wie, że tu jestem. Jedynie twoja ciotka, a ona nie sprzeciwiała się.

– Ona nigdy nie sprzeciwi się tobie, Edwardzie – podkreśliła z naciskiem Antonina. – Zbyt długo pracowała nad skojarzeniem nas. Ale ty powinienes być rozsądny. Zdajesz sobie sprawę z ryzyka.

– Moja kochana...

– Zgubisz mnie! – przerwała ostro i wyrwała dłonie z jego uścisku. Były chłodne.

Jej serce zabiło szybciej, ale dłonie były chłodne jak wtedy, gdy po raz ostatni dotykała nimi rozpalonej twarzy Tomasza. Doktora Tomasza... Nagle znalazła się na tamtej polanie osłoniętej krzakami tarniny od drogi. I od wroga... Otrząsnęła się.

– Zgubisz mnie, a może jeszcze ciotkę, za to, że dała mi schronienie!

– Nie obawiaj się, jestem ostrożny – uspokajał Edward. – Pilnowałem, żeby nikt mnie nie zauważył, a konia ukryłem w stajni.

– Nie wiem, po co to robisz – obruszyła się. – Już ci mówiłam, nie chcę... Nie mogę za ciebie wyjść... Przynajmniej jeszcze nie teraz – dorzuciła po dłuższej chwili.

– Nie teraz! – kurczowo uczeplił się tych słów. – Ale gdy to wszystko się przewali, gdy skończą się nagonki, tak!

– Skończą się nagonki – westchnęła i pokiwała głową z politowaniem. – Zdaje mi się, że wciąż jesteś naiwnym chłopcem.

Wstała z obitej liliowym aksamitem sofy i zajęła się nalewaniem herbaty do cieniutkich filiżanek. Im więcej było nerwowej gwałtowności w jej ruchach, napięcia i zaczepności w spojrzeniu, tym większe pragnienie i czułość budziła w Edwardzie.

– Nie jestem naiwny – zaprotestował. – Rozumiem, że się boisz. Ale ten strach odbiera ci wolność, a niewola jest zła tak samo jak śmierć.

– Śmierć, śmierć – zaśmiała się gorzko.

Otwarte, nieruchome oczy Tomasza prześwidrowały mglisty obraz, który po nim pozostał. Bolesne wspomnienie. Zła, okrutna śmierć. Gdyby zechciała zabrać i ją...

– Nie bałabym się, gdyby tylko o śmierć chodziło – rzekła powoli, z zadumą. I zaraz jej twarz zapłonęła, a pierś zaczęła unosić się i opadać w przyspieszonym oddechu. – Ale nie zniosę

bólu i upokorzeń, gdy mnie dopadną. Gdy zechcą zrywać ze mnie odzież, hańbić moją kobiecość, chłostać, przeganiać przez szpaler uzbrojonych w kije żołnierzy... Nie zniosę zsyłki gdzieś na bezkresną Syberię, nieludzko ciężkiej pracy ani głodu. Nie chcę, żeby mi wyciskali rozżarzoną żelazną szubienicę na czole, kiedy nie uda mi się uciec! – rzuciła na koniec, a w jej oczach pojawiły się dwie nieproszone łzy. Zamrugowała szybko. Edward chłonął ją wzrokiem, pragnął Antoniny właśnie takiej, zagubionej i bezradnej, bo w tej chwili przypominała jego ukochaną córeczkę, lgnącą do niego. Potrzebującą go. Rozczulił się.

– Będę cię chronił, kochanie – szepnął.

Odmówiła zdecydowanym, szybkim ruchem głowy, wierzchem dłoni otarła spływającą łzę, po czym zerknęła na niego z ukosa, jakby sprawdzała, na ile zauważył jej chwilową słabość.

– Nie mogę cię narażać – odezwała się tonem, któremu próbowała nadać pewne i mocne brzmienie. Ale nie mówiła prawdy. Nie chciała Edwarda, tęskniła za tamtym... – A o mnie nie musisz się martwić. – Siliła się, by nadać słowom lekki ton. – Postaram się o wolność wewnętrzną. Tutaj, w sercu. Muszę tylko...

– Antonino – wszedł jej łagodnie w słowo. – Uwierz mi, niczego nie musisz. Niepotrzebnie się obawiasz. Niewielu tutaj wie o tobie, a już na pewno nie znają cię ci otępiali miejscowi strażnicy.

– Co ty wiesz o strażnikach? – parsknęła z ironią. – Zresztą... – Machnęła ręką. – Co tam oni... Co wiesz o carskiej żandarmerii? Do Przylipia ani na szczęście tutaj, do Sępina, niewiele dociera. A ja dość długo byłam w Warszawie, myślałam, że tam w tłumie bezpieczniej, ale tak nie jest. Car kazał budować cytadelę i zapowiedział, że przy najmniejszym proteście każe miasto zbombardować. Tak powiedział: „Zburzę Warszawę i z pewnością nie ją odbuduję”. Wszyscy teraz patrzą, jak rośnie ten gmach, cegła po cegle. Płaci za to Warszawa, czyli my, Polacy – zaznaczyła

drwiąco. – Carskie władze mszczą się za nasz bunt. Wyłapują powstańców, skazują na śmierć, na więzienie, zsyłają, odbierają majątki! – krzyczała, coraz bardziej wzburzona.

– Dobrze o tym wiem, Antonino, ale proszę, zaufaj mi. Zrobię wszystko, żebyś była przy mnie bezpieczna.

– Uciekłam z Warszawy – ciągnęła, jakby nie dotarły do niej jego słowa. – Ale oni są jak wężące psy, Edwardzie, więc teraz boję się, żeby się za mną nie przywlekli. Boję się o ciotkę, żeby jej przeze mnie nie skrzywdzili. Mój Boże, nigdzie teraz nie zaznam spokoju. Tutaj też... Doktor wie. – Umykała wzrokiem i ledwo panowała nad drzeniem głosu. Bardzo się starała, żeby nie dostrzegł jej lęku i bezsilności.

– Doktor? Moja kochana, on jest lojalny. Dużo wie, a dotąd nigdy nikogo nie wydał.

– Nie przeczę, może masz rację – przyznała. – Ale bywają wypadki... Zresztą w Przylipiu też mnie znają.

– Znają i lubią. Nikt ci tam krzywdy nie zrobi.

– Danicki!

– Danicki jest moim przyjacielem.

– Cóż z tego? Jest również plotkarzem, wystarczy, że się upi-je! – wybuchła.

– Danicki cię nie zdradzi – oświadczył.

Milczenie przyjaciela na temat rosyjskiego dezertera, którego Edward ukrywał w swoim domu, i zamieszania Zygmunta w za-bójstwo redaktora Zawiorsty utwierdzało go w tym przekonaniu. – Poza tym byłaś przecież pielęgniarką, nie żołnierzem.

– Pielęgniarka na froncie to żołnierz, Edwardzie – zauważyła cierpko. – Nie próbuj mnie uspokajać. Dobrze wiem, że mam czego się bać.

– Nawet przy mnie? – Nie potrafił ukryć rozczarowania na widok ściągniętych w uporze ust. Najchętniej całowałby je teraz, lecz nie odważył się. Były zacięte i niedostępne.

Zacisnął mocno szczęki i ponownie ujął jej dłonie. Tym razem trzymał silnie za nadgarstki, jakby nigdy już nie zamierzał ich puścić.

– Spójrz na mnie – zażądał. – Spójrz mi w oczy i odpowiedz: czy twoje zachowanie świadczy o tym, że odbierasz mi nadzieję? – W jego pytaniu zabrzmiały nieudolnie ukrywane strach i rozpacz. Miał złe przeczucia.

Zmieszła się i znów uciekła wzrokiem.

– Ech, Edwardzie... Myślisz tylko o sobie, więc teraz pytasz byle pytać – odparła wykrętnie. Och, dlaczego nie ma odwagi, by przyznać się do tamtej miłości, do rozdzierającego bólu, do tęsknoty... – Jeśli sam tego nie wiesz, pogódź się, że z moich ust nie na wszystko usłyszysz odpowiedź.

Patrzył na nią długo, badawczo, podejrzliwie.

– Nie kochasz mnie – powiedział w końcu. Zwolnił uścisk i puścił szczupłe nadgarstki na których pozostały białe odciski jego palców. Przyglądał się, jak rozciera te ślady, jak nadal goni gdzieś wzrokiem.

Bolało go, że zwleka z odpowiedzią, że nie zaprzecza.

Drzwi tymczasem stały otworem, a w nich ukazała się Karolina Godziewiczowa. Ubrana była w strój wizytowy, w którym wydała się Edwardowi dorodną gruszką. Jej rozłożyste biodra balansowały pod szeroką spódnicą, kołysały się i zwodziły. Twarz jednak pozostała spięta, przejęta ni to oburzeniem, ni troską. Przetoczywszy się przez próg, z impetem opadła na krzesło. Jęknęło pod ciężarem.

– No i co, panie Edwardzie? – Z trudem łapała oddech. Przejście kilku kroków stanowiło dla niej nie lada wysiłek. Oddychała ciężko i raz po raz zanosila się kaszlem. – Czy Antonina zwierzyła się już ze swojego pomysłu? Jak mi Bóg miły, ta dziewczyna do grobu mnie wpędzi – wysapała i wbiła w siostrzenicę zagniewane spojrzenie. – Przyznałaś się? – dociekała.

Edward zamarł, a Antonina przebiegła pustym wzrokiem po ich twarzach, jakby stali się niewidzialni. Jakby nie siedzieli na przeciw, nie przyglądali się jej w pełnym napięcia oczekiwaniu.

– Nic jeszcze nie powiedziałam – odparła w końcu znużonym głosem.

– A powinnaś – zganiła ją ciotka. – Pan Edward musi o tym wiedzieć. Należy mu się po tym wszystkim... – odchrząknęła, bo dalsze słowa utknęły jej w gardle. Z ukosa zerknęła na gościa.

– Po jakim wszystkim? – Nastroszyła się Antonina. – Nic między nami nie było!

– Już ty mi nie opowiadaj – rzuciła kpiąco ciotka. – Nie po to... – przerwała, zwinętymi w pięści dłońmi przywarła do piersi i dobrą chwilę oddychała jak ryba wyrzucona na brzeg. – Nie po to przymykałyśmy oko z panią Stalicką na wasze samotne spacerki, na gruchanie w bawialni, żebyś teraz udawała niewinność.

– Och! – zachnęła się Antonina. – Gruchanie w bawialni! Rozmawialiśmy zaledwie.

– Nie przerywaj, swoje wiem. A panu Edwardowi należy się wyjaśnienie... O, Jezusku święty – zamachała rękami w kierunku siostrzenicy. – Daj no, szklanek wody, kochana. Doktor zabronił się denerwować, a tu takie coś... Panie – zwróciła się z kolei do Edwarda. Jej głos natychmiast się zmienił. Łamał się teraz płaczliwie za każdym wypowiedzianym słowem. – Niechże pan coś zrobi! Toż ona za granicę chce uciekać! Do Francji! Do Paryża!

Edward pobladł. Nerwowym ruchem sięgnął do kieszeni, wydobyl fajkę, której wprawdzie nie zapalił, lecz na niej skoncentrował uwagę. Obracał w palcach i nie odrywał od niej wzroku. Wydawałoby się, że ten sfatygowany, miejscami poczerniały przedmiot stał się ważniejszy od Antoniny. I od jakiegś tam Francji. I od wszystkiego, co tutaj się dzieje.

– Panie Edwardzie – upomniała go z niesmakiem Godziewiczowa. – Słyszałeś pan, co mówiłam? Do Paryża!

– Cóż – westchnął i podniósł się z ociąganiem. – To wybór panny Antoniny. Nie mnie decydować o jej losie... – Ujął dłoń zaskoczonej Godziewiczowej i złożył na niej pełen szacunku pocałunek. – Pójdę już, zrobiło się późno.

Antoninę zaledwie musnął wzrokiem. Nie miał sił na walkę z bólem i rozpaczą, gdyby przyszło mu dotknąć jej dłoni, po raz ostatni poczuć jej zapach, jej chłód.

– Dobrej nocy, Antonino – rzekł tylko i ruszył do drzwi.

– Edwardzie! – zawołała za nim.

Zatrzymał się i odwrócił rozjaśnioną nadzieją twarz.

– Nie przyjeżdżaj tu więcej – powiedziała szybko. – A gdyby co... Udaż, że mnie nie znasz.

Wchłonęła go noc i marcowa odwilż. Wszystko wokół ciekło, chlupało i bryzgało rozmokłym śniegiem. Czuł na policzkach, na włosach, na ubraniu umieranie tego rozmiękłego i wilgotnego zimowego żywiołu. Umierał on wraz z jego nadzieją.

Powoli oddalał się od drewnianego dworku. Uwierały go rozczarowanie, beznadzieja, żal, wreszcie pierścionek po babce Walerii wciśnięty do kieszonki kamizelki. Przyjechał tu z konkretnym zamiarem. I wszystko przepadło.

Po jakimś czasie zorientował się, że zapomniał swojego konia. Wrócił. Sam, bez pomocy stajennego, wyprowadził klacz i gdy poczuł pod sobą gładkość siodła, pogalopował ledwie majaczącą w ciemności drogą.

Utrata Antoniny odebrała mu spokojne noce. Natrętne myśli i wspomnienia układały się w żalobny stos, podsycany żarem cierpienia i złości. Nie potrafił go ugasić. Może jedynie łzami, ale te, karczone przez męską dumę, nie miały śmiałości płynąć.

Rozalia przyglądała się wszystkiemu z boku. Dostrzegąca strapienie syna, lecz pochwyciwszy raz i drugi jego niechętnie

spojrzenie, nie podejmowała rozmowy. Uznała, że trzeba dać mu czas. Trzeba czekać, aż będzie gotów. Aż sam do niej przyjdzie.

Tymczasem on znów chodził na mogiłkę Elizy i jej, nie matce, skarżył się bezgłośnie.

Słyszała te skargi przemijająca między wyniosłymi jesionami i wiązami ni to żywa, ni umarła cmentarna wiedźma. Starzy mieszkający w tej okolicy wciąż mieli w pamięci jej niezwykłą urodę i bystrość umysłu, gdy kręciła się po plebanii jako córka księżej gospodyni. Jagna jej było. Ojca nikt nie znał. Szeptano tylko sekretnie, że Jagusine oczy kropka w kropkę do tych księżowskich podobne. Po śmierci matki młodej dziewczynie nie wypadało na plebanii pozostać. Toteż błąkała się po okolicy, zabiedzona, głodna i w zaniedbanym odzieniu. Ci, co ją spotkali, odwracali z niechęcią oczy, a niektórzy zaczepiali ją zuchwale i znieważali. Aż pewnego dnia zauważył ją Maciej, karczmarz i wdowiec. Żał mu się zrobiło dziewczyny i rad byłby ją na karczmarkę przyuczyć. Wymyta, odkarmiona, ubrana w czystą sukienkę i krochmalony fartuszek, przyciągała każde męskie spojrzenie. Zakochał się w niej i sam Maciej, a że wdzięczna Jagna była mu przychylna, szybko wyprawiono wesele. Żyli szczęśliwie, a gdy mąż zestarzał się i podupał na zdrowiu, Jagna pielęgnowała go z oddaniem i miłością aż do końca. Kiedy znów została sama, życie ziemskie utraciło dla niej sens.

Lubiła za to umarłych i dobrze czuła się w miejscu ich wiecznego spoczynku, między grobami. Rozczulał ją też Edward pochylający się niemal każdego dnia nad mogiłką żony. Może przez to Eliza stała się ulubienicą cmentarnej wiedźmy.

Przepelniona troską, zniechęcona i zmęczona bezsennością Rozalia obróciła się na drugi bok. Dawno wstał świt, tymczasem ona od wielu godzin bezskutecznie próbowała zasnąć. Na domiar złego dotarł do niej daleki, głucho dudniący dźwięk kościelnych dzwonów. Wcisnął się przez uchylone okno, wdzierał się aż pod pierzynę, którą usiłowała osłonić uszy. Chwilę później wysunęła głowę, bo każde uderzenie kończyło się jakąś radosną srebrzystością, która nieoczekiwanie dodała jej otuchy. Sprawiała, że poczuła w sercu dziwną lekkość. Uniosła się na łokciu i zapatrzyła w fałdy firany, spośród których, jak z gęstej zasłony mgieł, powoli otrząsało się słońce.

Minął pierwszy tydzień kwietnia. A te dzwony to na rezurekcję, na świętowanie triumfu Zmartwychwstania. Czy to nie symbol, nie pociecha dla uciśnionego narodu? Nic dziwnego, że celebrowanie świąt nie było w smak zaborcom, którzy nabożeństwa kościelne i słowa kapłana objęli surową cenzurą. Niedawno też ksiądz po domach i dworach zaufanego zakrystiana z wiadomością wysłał, żeby kobiety nie wkładały czarnych sukien, które wróg mógłby uznać za prowokację, za symbol żałoby narodowej.

Rozalia zwięzła oczy, wysunęła się z pościeli i boso podeszła do szafy. Wydobyła ciężką suknię, w której odprowadzała na

cmentarz najpierw matkę, a później synową. Niedoczekanie, żeby ktoś ośmielał się nakazywać jej, co ma nosić. Zaraz zleci Marynie, niech odświeży i oczyści zakurzony czarny aksamit.

Prześwietlone słońcem witraże rzucały kolorowe smugi na kościelne posadzki, przybrudzone ściany i poważne oblicza świętych. Ale i na te suknie żałobne, na pełne dumy, odważne oczy kobiet, na zawzięte twarze mężczyzn.

Od klęski powstania listopadowego minęło półtora roku. Rozuchwaleni zwycięstwem zaborcy bez litości karali Polaków za ten zryw, a złowieszcze słowa cara wciąż krążyły po chatach, dworach i karczmach, wypływane przez zaciśnięte zęby: „Nie wiem, czy będzie jeszcze kiedy jaka Polska, ale tego jestem pewien, że nie będzie już Polaków”. Tak powiedział car, a ludzie zaciskali pięści, uśmiechali się wzgardliwie i pielęgowali wewnętrzny bunt. Czuli, że to jeszcze nie koniec, że podniosą się jeszcze. Będzie i Polska, i Polacy.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie...

Naszą ojczyznę racz nam wrócić, Panie

– z przejęciem grzmiał tłum.

A ksiądz cierpliwie czekał, aż ludzie skończą. Dopiero wtedy zaintonował stosowną na to święto pieśń:

Wesoły nam dziś dzień nastał...

Przyłipie ożywiło się gwarem i radością wspólnego spotkania. Kuzynka Eulalia przyjechała już w Wielki Piątek i odkąd przekroczyła próg domu, nie odstępowała zabieganej Rozalii.

– Wybacz mi, moja kochana, ale tak spragniona jestem kogoś bliskiego – mówiła przy lukrowaniu w kuchni świątecznych mazurków. – Niby jest Malwina, ale wiesz, jaka ona. Dumna

i milcząca. Każde słowo trzeba u niej kupić – szczebiotała, zerka-
jąc przez ramię Rozalii, gdy ta doglądała mięs i ciast. – Czasem aż
skręca mnie w środku z tej samotności. Nie mogę znieść pustych
miejsz po Witusiu i moim ukochanym Henryku – ubolewała
podczas przeglądania krochmalonych obrusów czy przy wyborze
win w mrocznej piwnicy.

– No, a jakże Witold? Nic o nim nie wiadomo? – zaintereso-
wała się Rozalia.

– Nic nie wiem. Niektórzy mówią, że pewnie z kraju wyjechał.
Mówią też, że słusznie zrobił, bo lepiej jechać nawet za niemiecką
granice, niż pod rządy cara wrócić. Zwłaszcza ten, kto brał udział
w powstaniu, nie powinien ryzykować.

– Z tego, co słyszałam, Niemcy, Austria i Rosja mają zakaz
przyjmowania polskich uchodźców – zauważyła Rozalia i obej-
rzała pod światło srebrne sztucce, czy nie mają smug.

– No więc nie wiem. Może do Paryża? Bo, powiem ci, Roza-
lio... – Eulalia podniosła do góry pusty półmisek i zdmuchnęła
z niego ledwie widoczny paproszek. – Powiem ci, że w zesłanie
Witusia nie wierzę. Mój syn zawsze był sprytny, nie dałby się
złapać i gdzieś na katorgi wywieźć. O, to nie on, zapewniam
cię! – Mówiła z mocą, jakby chciała o tym przekonać bardziej
siebie niż Rozalię. – Zresztą napisałby przecież...

– A z tego tam, Paryża, czy gdzie on teraz jest, nie może
napisać? – zapytała ostrożnie Rozalia i przestawiła wazon z tu-
lipanami na drugi koniec stołu, gdzie według niej prezentował
się lepiej.

– Jakże? Z emigracji? – wytrzeszczyła oczy Eulalia i bez-
wiednie przeniosła wazon z powrotem. – Wituś listów nie pisze,
bo wie, że one przez wiele rąk i wiele oczu przechodzą. Nawet
ponarzekać w nich nie może. A skoro prawdę musi zataić, to
o czymże on, biedny, ma pisać? – dodała na usprawiedliwie-
nie, zauważywszy pełne zwątpienia spojrzenie Rozalii. – Ach,

kochana – rozpląkała się znienacka. – Jakże chciałabym pojechać do niego! Wołałabym dzielić jego los na wygnaniu, niż czekać tu w niepewności – szlochała żałośnie.

Rozalia rzuciła serwetkę, którą właśnie składała, i przygarnęła do siebie kuzynkę. Poczula jak kołnierzyk domowej sukienki nasiąka łzami Eulalii.

– Za dwa dni urodziny Witusia, a ja nawet go nie uściskam – skarżyła się urywanym głosem. – Mogę jedynie fotografię ucałować, otworzyć szafę i wtulić twarz w jego ubrania – łkała boleśnie. I po tych łzach, po tym roztrzęsieniu Rozalia poznała, że ta udręczona matka w żadną emigrację nie wierzy. Rozumiała ten ból i jeszcze mocniej przytuliła Eulalię do serca.

– No, cicho już, cicho – mruzczała. – On wróci. Tylko patrzeć jak wróci... Nie płacz...

– Nie mówiłam ci jeszcze. – Eulalia i otarła łzy i pociągnęła nossem. – A może pisałam? – zastanowiła się. – O Borisie. Pisałam?

– Nic o Borisie nie pisałaś. – Rozalia przyjrzała się jej z zainteresowaniem.

– Już u mnie nie mieszka – oświadczyła trochę ze smutkiem, a trochę ze złością Eulalia. – Sama musiałam nauczyć się wszystkiego i zając kamienicami.

– Do swoich pojechał? – zapytała z przejęciem Rozalia, ignorując nowe obowiązki kuzynki.

– Do jakich swoich? – Wzruszyła ramionami Eulalia. – Wyobraź sobie, zainteresował się nim szef tajnej policji, który śledził rosyjskich dezertów. Ale Boris poznał kogoś wysoko postawionego. Tak dobrze kłamał, że tamten posadził go na urzędowym stanowisku i zatuszował ciemną przeszłość. Tak to u nich jest. Jednego dnia jest się nikim, a następnego ważnym urzędnikiem. Zależy, z kim się gorzałkę pije...

– Mój Boże, spodziewałam się, że ożeni się z Malwiną, zabierze ją do Rosji.

– Malwinę do Rosji? A po co? – Eulalia rozłożyła ramiona i uniosła brwi w szczerym zdziwieniu.

– Kochali się przecież. – Rozalia aż przysiadła na krześle. – Czekałam ich ślubu...

– Ślubu? Kiedy ona wcale się do niego nie garnęła. A bywało nawet, że patrzyła na niego jak kot na psa, więc ona została u mnie, a Boris poszedł w swoją stronę. Wiesz, Rozalko, on ją pewnie kochał, a ona owszem, może wcześniej lubiła go, ale odkąd on z ruską elitą zaczął przestawać, nie chciała go widzieć. On bez serca nie był, kiedy wyprowadzał się, to za nią płakał. Zawsze taki twardy, a wtedy płakał. Mnie się wydaje, że gdyby ona pozwoliła, ożeniłby się z nią...

– Wierzyć mi się nie chce – pokręciła głową Rozalia. – Zdawało mi się...

– No, więc tylko ci się zdawało, kochana – przyznała skwapliwie Eulalia. – Możesz mi wierzyć albo nie, ale na mój gust, to Malwina do takich rzeczy się nie nadaje. Małżeństwo? Chronj ją przed tym, Boże. I każdego mężczyznę, który będzie chciał zakochać się w tej dziewczynie. Ona w jakimś innym świecie żyje. W swoim świecie.

– No, jeśli tak... Może jest z tym szczęśliwa – skwitowała Rozalia i z westchnieniem podniosła się z krzesła.

– Szczęśliwa? – powtórzyła Eulalia z namysłem. – Bo ja wiem... Bez tych łąk, lasów, jezior? Powiem ci tak od serca, Rozalio. Mnie się wydaje, że ona nigdy nie będzie szczęśliwa w Warszawie.

Po rezurekcji, na której nie zabrakło nawet Zosi wtulonej w Wandę i ziewającej szeroko, zaproszeni goście zajechali na dziedziniec Przylipia. Poldek i Anatol ledwie nadążali wypręgać konie, tyle ustawiło się bryczek. Cała pokojowa służba wyległa przed dom witać gości. Aniela, Kazia i Wiesia uwijały się w kuchni, żeby na czas podać ciepłe potrawy. Łatwiej było, gdy

pracowała z nimi Wanda, ale ta po wyjeździe Malwiny została opiekunką Zosi.

Edward witał Alfreda Konickiego z Bobrowej, ciotkę Felicję, wuja Gustawa i cioteczne rodzeństwo. Klepał po ramieniu Danickiego, całował dłoń jego żony i tulił ich dzieci. Wciąż jednak zerkał na drogę, gdzie spodziewał się ujrzeć powóz Godziewiczowej. Czekał z niecierpliwością i z rosnącą obawą, bo Antoniny nie widział dziś w kościele. Lęk, że mogła wyjechać bez pożegnania, ścisnął mu gardło.

Goście zajmowali już miejsca przy stole, gdy Edward wreszcie dostrzegł przez okno konie z Sępina. Bez zastanowienia wybiegł na ganek i z trudem powściągnął zamiar, by wyprzedzić Wacława i zamiast niego usłużyć przyjezdnym. Jakiegoż doznał rozczarowania, gdy z bryczki wysiadła jedynie pani Karolina.

Podszedł, niemal podbiegł, i nie przywitawszy się nawet, zapytał gorączkowo:

– Wyjechała?

Godziewiczowa obrzuciła go wzrokiem pełnym nagany.

– A bodajbyś pan przepadł – warknęła. – Jest. I oczy wypłakuje.

Dopiero teraz chwycił obie dłonie zaskoczony kobiety i ob-sypując je pocałunkami, zawołał:

– Jest? Przyjechała? Gdzie ona?

– Zgaś pan te ślepia, bo mi suknię zajmiesz – skarciła jego radość. – Tutaj nie przyjechała. – Pociągnęła go ku sobie i dodała ciszej: – Przecież boi się carskiej policji.

– A Paryż? Porzuciła pomysł? – zapytał z nadzieją.

– Jakbyś pan Antoniny nie znał – uśmiechnęła się krzywo. – Ona sama z siebie porzuciłaby pomysł! Coś tam nie poszło jak trzeba. Ktoś miał po nią być i się nie zjawił, choć ona już na walizkach siedziała.

– Nie pojechała!

– Toż mówię...

– Czy nadal nie chce mnie widzieć?

– Jedź pan do niej i sam zapytaj – obruszyła się. – Ona ze mną o tym ani myśli rozmawiać.

Edward skinął tylko na Waclawa, żeby zaprowadził gościa do salonu, po czym zawołał na Poldka:

– Osiodłaj Nimfę! Prędko!

Pędził na złamanie karku, wznecając tumany kurzu. Tak bardzo pragnął pocieszyć, utulić ukochaną, którą wyobrażał sobie przerażoną, wbitą w najciemniejszy kąt pokoju, zalaną łzami. Dlatego widok Antoniny sypiącej kurom ziarno i wesoło zagadującej do ptactwa sprawił go w osłupienie. Tym bardziej że jego wybranka nie różniła się strojem od służącej. Rude loki ukryła pod krochmalonym czepkiem, a szczupłą kibić przewięzała białym obszytym koronką fartuszkciem.

Edward zsiadł z konia, rzucił stajennemu wodze i trzymając się rozwleczonego wzdłuż zabudowań cienia, skradał się ku domowi. Chciał, by ktoś ze służby uprzedził pannę Antoninę o jego wizycie. Nie zamierzał wprawiać jej w zakłopotanie, bo z pewnością nie życzyłaby sobie, żeby zastał ją w takim stroju i w takim otoczeniu.

Stąpał ostrożnie, ale dostrzegła go od razu. Uśmiechnęła się zaczepnie i nie odwróciwszy nawet głowy, rzuciła z przekąsem:

– Proszę delikatniej stawiać kroki i nie płoszyć mi kur!

Zatrzymał się zaskoczony.

– Doprawdy... Trudno za tobą nadążyć – rzucił z niesmakiem. – Cóż to za nowy pomysł, Antonino?

– Och... Nie podobam ci się w tej roli? – zapytała kpiąco. – Rozumiem, że wolałbyś pisać płomienne listy do ukochanej ukrywającej się na emigracji. Byłoby to bardziej romantyczne i mniej żenujące, prawda? Zatem wiadomość, że nie ma już panny Antoniny zapewne przyniesie ci ulgę, Edwardzie. Odtąd możesz wołać do mnie: Maniu, Broniu, Stefciu, czy jak tam chcesz.

Wysypała resztę ziarna z lnianego woreczka i wytrzepała go pieczołowicie. Biały pył uniół się z wiatrem, zakręcił w powietrzu, po czym opadł na wytorny frak Edwarda.

– Najmocniej przepraszam! – zawołała z udanym przerażeniem. – Ale sam sobie jesteś winien, czyż taki pan nie powinien bawić się teraz przy świątecznym stole, zamiast towarzyszyć byle dziewczce przy karmieniu drobiu?

Edward dobrze już znał Antoninę, dlatego z tego potoku słów pełnych uszczypliwości bez trudu wyłowil ton, który usilowała ukryć. Żal, lęk, a nade wszystko rozczarowanie przeciwnościami losu sączyły się z jej ust w przebraniu gorzkiej ironii. Wybrzmiały mu w głowie bolesną bezsilnością. Świetnie rozumiał, że zmiana statusu przykryta krochmalonym czepkiem i fartuszkim miały służyć za schronienie przed carską policją. Kochał Antoninę, więc to naiwne poświęcenie poruszyło w nim wrażliwe struny. Współczucie i rozczulenie odezwały się jednak z taką samą mocą, jak irytacja. Edward potrafił znieść wiele, lecz z całego serca nienawidził kierowanych ku niemu kpin.

Nienaganne maniery, które wszczepiła mu matka, w jednej chwili ustąpiły miejsca wzburzeniu, a zwarte szczęki i zwężone oczy nie wróżyły niczego dobrego.

Przez twarz Antoniny przemknął cień. Chętnie wycofałaby się z drwin, na które Edward przecież nie zasłużył, ale było już za późno.

– Z byle dziewczką, powiadasz? – wycodził. – Cóż, wcale nie uważam, że strój, jaki włożyłaś, miałby cokolwiek w tobie zmieścić, i nigdy nie nazwałbym cię w ten sposób. Skoro jednak sama się za byle dziewczkę uważasz, pozwól, że tak właśnie cię potraktuję.

Chwycił ją wpół, przerzucił sobie przez ramię jak snopek słomy i nie zważając na rozwierżgane i wściekle protesty, niósł ją do dworku przez cały dziedziniec, ganek i sień. Nie uwolnił jej nawet natknąwszy się na pokojówkę, która zatrzymała się w holu

i wielce strapiona starała się omijać wzrokiem wypięte pośladki panienki.

– Suknię dla panny Antoniny, szybko! – rzucił w przelocie.

– Wizytową? – wyjąkała i na wszelki wypadek dygnęła grzecznie.

– Nie chcę żadnej sukni! – krzyknęła rozjuszona Antonina.

Głos miała stłumiony, gdyż jej twarz znajdowała się pomiędzy łopatkami Edwarda.

– Wizytową – potwierdził Edward. – Przynieś najładniejszą.

– Z jedwabnej satyny? – dociekała pokojówka. – Z bufiastymi rękawami? Tę w różyczki?

– Nie w różyczki! – gwałtownie zaprotestowała zainteresowana i uderzyła pięścią w plecy Edwarda, aż zadudniło. – Postaw mnie wreszcie na podłodze! Puść mnie, słyszysz? Sama sobie wybiorę suknię!

– To nie wiem... – Przeszła z nogi na nogę służąca. – Co mam robić?

– Idź sobie! – krzyknęła Antonina.

– Możesz odejść – zezwolił łaskawie Edward. – A ciebie puszcę – zwrócił się do Antoniny, gdy służąca skwapliwie czmychnęła – jeśli obiecasz, że pojedziesz ze mną do Przylipia.

– To szantaż – warknęła.

– Wszystko mi jedno, nazywaj to, jak chcesz. – Nie ustępował.

– Dobrze, pojedę – obiecała niechętnie. – Tylko puść.

– I wyjdiesz za mnie? Przyrzekłaś to jakiś czas temu. Czyżbyś o tym zapomniała?

– Pamiętam, Edwardzie. Ale... Wtedy było inaczej, puść.

Zmiana w tonie jej głosu skłoniła go do zachowania powagi. Przestało być zabawnie, więc posłusznie postawił ją na podłodze.

– Mam prawo przypuszczać, że nie dotrzymujesz danego słowa. Damy tak nie postępują. Czy coś się wydarzyło? – zapytał.

– Nie... – odparła niepewnie, a przed jej oczami znów pojawił się obraz młodego doktora. Leżał w kałuży krwi i szukał

wzrokiem jej oczu. „Ruda – szepnął słabo, gdy zrozpaczona pochylała się nad nim. – Zostaw, ze mnie nic już nie będzie...” – Potem skrzywił się w żalonym grymasie, z którego odgadła uśmiech, i dodał: „Ale gdybym przeżył, ożeniłbym się z tobą. Zostań z tym, że cię kocham, Ruda...”

Chwyciła go za rękę, ale zabrał ją gwałtownie i rzucił przez zaciśnięte zęby: „Uciekaj. Ze mną i tak koniec. Weź moją apteczkę, zaopiekuj się...”

– Wyjdiesz za mnie? – wyrwał ją z zadumy Edward.

Nie odpowiedziała, rzuciła mu tylko zgnębione spojrzenie.

– Jedźmy zatem – rzekł ze smutkiem i ruszył do wyjścia.

Jakże to tak, pod obcym nazwiskiem? – oburzył się proboszcz i prześwidrował wzrokiem Edwarda, który z lekkim zakłopotaniem przyczesał włosy dłonią. Czas i zmartwienia przerzedziły je nieco, pogłębiły zakola i przyprószyły siwizną.

– Tak trzeba – rzekł cicho. – Antonina była pielęgniarzką w powstaniu. Takich ścigają, więc nie powinno być tu po niej żadnego śladu. Nikt obcy nie może wiedzieć, kto jest moją narzeczoną. Ksiądz to przecież rozumie...

– Rozumiem, rozumiem, synu – westchnął. – Takie to czasy nastąpiły, że i Bóg niekiedy oczy odwraca... Ale czyś pewien, że swoim można zaufać? Nikt nie zdradzi?

– Swoim ufam – powiedział z przekonaniem Edward.

– No, dobrze... To jak ją zapisać?

– Weronika – odparł szybko, bo od dawna był do tej rozmowy przygotowany.

– Weronika – powtórzył ksiądz. – A jakie nazwisko? Po ojcu?

– Nazwisko niech będzie Lisicka.

– Lisicka?

– No... – Uśmiechnął się Edward, a jego brązowe oczy utonęły w drobniańczej siateczce zmarszczek. – Ruda taka, to niech ksiądz pisze „Lisicka”.

Ksiądz umoczył pióro w atramencie i dyktując sobie głośno sylaby, zapisał w opasłej księdze:

– We-ro-ni-ka Li-sic-ka... Ale jak to może być? – skrzywił się znowu. – Co z zapowiedziami, skoro takiej panny nikt nie zna, bo wcale jej nie ma? A jeśli ona z jakiegoś powodu za mąż nie może iść i to zatai?

– Biorę to na swoje sumienie – rzekł twardo Edward. – A mnie ksiądz chyba może zaufać?

– Cóż... Ciebie znam od urodzenia, zawsze uczciwy byłeś... Na pewno świadom jesteś, że i ja się narażam. Tylko dlatego, że ci ufam, robię to dla ciebie, synu, bom chrzcili cię przed tym ołtarzem. Twój ojciec, kiedy jeszcze żył, zawsze wierny był kościołowi, podtrzymywał monstrancję w Boże Ciało. No, i twoja matka nigdy na ofiarę grosza nie szczędziła... – zawiesił wyczekująco głos i wysunął koniuszek języka.

– Ile trzeba? – zaśmiał się Edward i sięgnął do kieszeni kamizelki po sfatygowany pugilares.

– Ot, widzisz, ławki kulawe. Czas nowe strugać, a stolarz drogo bierze.

– Mojszyk nie bierze drogo – zaprotestował Edward. – Wystarczy dać mu kawałek chleba z cebulą, a będzie pracował cały dzień, żeby choć parę groszy zarobić.

– Mojszyk to Żyd! – oburzył się ksiądz. – A Żyd robi szybko i niedbale.

– To ile trzeba? – uśmiechnął się Edward.

– Co łaska, synu. – Ksiądz skromnie spuścił wzrok, strzepnął pyłek z rękawa sutanny i wciągnął ze świstem powietrze.

Edward wyjął kilka banknotów i położył na białym obrusie.

– Baderski, dobry stolarz? – zapytał.

– Dobry – potwierdził ksiądz i krytycznie oszacował wzrokiem niewielki plik. – Nawet bardzo dobry...

– Wystarczy dla niego?

– Mówię przecież, że Baderski to bardzo dobry stolarz – podkreślił.

Edward dołożył trzy banknoty i znów zapytał:

– Taki dobry?

Ksiądz uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Taki dobry. Ale wiesz? Rad jestem, żeś mi o nim przypomniał. Bo jemu, grzesznikowi, to za pokutę zadam ławki strugać – oświadczył z zadowoleniem i schował banknoty do kieszeni. – A ty nic się nie martw. Kobiety pięknie kościółek wyszykują i będzie ślub w samo Boże Narodzenie.

– Nie. Niech będzie w styczniu. W trzecią niedzielę.

Ksiądz zastanowił się chwilę, zanim wyraził aprobatę.

– Niech i tak będzie. A teraz, jak będziesz do domu wracał, zajedź do Danickich, do pani Heleny, bo ona *Veni creator* śpiewa najładniej w całej parafii.

– Nie trzeba – odparł Edward. – Ślub będzie cichy i skromny. Najskromniejszy w całej okolicy...

Pani Karolina, jako jedyna opiekunka Antoniny, od chwili oświadczyń, które siostrzenica przyjęła wreszcie pod koniec maja, nie mogła zaznać spokoju. Była tak podniecona, jakby sama wybierała się za męża. Niechętnie zgodziła się na ciche zaręczyny, a wiadomość o równie cichym ślubie przypłaciła niemal apopleksją.

Zrozumiała jednak, jakie niebezpieczeństwo grozi ukochanej siostrzenicy, dlatego skromne wesele postanowiła jej wynagrodzić bogatą wyprawą. Na ten cel sprzedała Alfredowi Konickiemu łąki sąsiadujące z Bobrową, pomniejszając tym samym posag Antoniny, gdyż Sępin zamierzała w przyszłości przekazać w jej ręce.

Letnie, zimowe, domowe, wizytowe i balowe suknie, szale, okrycia i wachlarze, część biżuterii ze szkatułki ciotki, satynowe pantofelki, ciepłe botki, płótna i perkale, pończoszki i zdobiona

haftami bielizna, naczynia, przybory na toaletę, prześcieradła, poszwy, poszeweczki, obrusy, serwety i serweteczki nic a nic nie obchodziły przyszłej panny młodej. Jedynie czarna suknia wzbudziła jej żywe zainteresowanie.

– Dlaczego taka, ciociu? – zapytała niby od niechcienia, przykładając do siebie czarny atłas. Najchętniej włożyłaby ją do ślubu i skryta w czerni fałd i koronek opłakiwała śmierć Tomasza.

– To na wypadek żałoby. Młoda mężatka powinna być przygotowana na każdą okoliczność – odparła pani Karolina, zabrała, niemal wyrwała z jej rąk suknię, ułożyła ją na samym dnie kufra, po czym dyskretnie splunęła przez lewe ramię.

Antonina traktowała zamążpójście jako zwyczaj i tradycję. Według niej ani to obowiązek, ani przywilej, ot rytuał. Lubiła i szanowała Edwarda, lecz małżeństwa z nim nie uważała za jakiś szczególny uśmiech losu. Okres narzeczeństwa i przysługujące młodym przywileje denerwowały ją. Po zaręczynach etykieta pozwalała Edwardowi bywać u niej codziennie, on zaś wykorzystywał tę możliwość i, wystrojony odświętnie, przesiadywał w jej towarzystwie, na ile przyzwoitość pozwalała. Jeśli rozmawiali, czas upływał szybko, bo rozmowy z Edwardem były zajmujące, ale gdy prosił ją o grę na fortepianie i, ku jej irytacji, czuł się w obowiązku przewracać nuty, Antonina zgrzytała zębami ze złości. Wzięła się więc na sposób i proponowała przechadzki, wtedy jednak narzeczony korzystał z prawa prowadzenia ją pod rękę, czego nie cierpiała. Każdego dnia obdarowywał ją czekoladkami, od których tyła Godziewiczowa. Zauważył to, przyniósł kolczyki, a następnego dnia broszkę. Wtedy Antonina nie wytrzymała.

– Dziękuję za te błyskotki, Edwardzie, lecz bacz, by twoje podarunki nie stały się kosztowniejsze od mojego posagu.

Zrozumiał aluzję i odtąd obsypywał ją kwiatami, które wybierał konsekwentnie coraz czerwiejsze, im bliższa była data ślubu.

W pierwszych dniach Godziewiczowa służyła im za przyzwoitkę, ale szybko machnęła na to ręką. Nie miała czasu na przesiadywanie z młodymi, znała ich zresztą, nie raz bywali sami, więc zostawiała tylko otwarte drzwi i szła do swoich obowiązków.

O ile oni podchodzili do wszystkiego spokojnie i z dystansem, a ze względu na Antoninę starali się zachować ślub w sekrecie, o tyle Rozalia i pani Karolina szybko zapomniały o ograniczeniach i z zapalem zabrały się za przygotowania do wesela.

Tydzień przed ślubem okazał się czasem wielkich zmian. Anielę, Kazię i Wiesię oddelegowano do kuchni w Sępinie. Również Rozalia przeniosła się tam, by wesprzeć bliską histerii Godziewiczową. A ponieważ Edward i tak przesiadywał u narzeczonej, w Przylipiu pozostała jedynie służba, Zygmunt i dzieci. Może nie był to rozsądny wybór, ale pieczę nad dworem Rozalia powierzyła Joannie i Kajetanowi, natomiast kuchnię, podręczną spiżarnią i karmieniem całego stadka miała się zająć przejęta i przerażona Wanda. Zosia trafiła pod opiekę Józki, która nie bardzo radziła sobie z energiczną dziewczynką, dlatego z ulgą i wdzięcznością wrzucała ją w ramiona zawsze chętnego do zabaw z siostrą Stasia.

W tym samym czasie sępińska kuchnia puchła od smaków i zapachów. Ale też od naburmuszonych kucharek, z których każda miała swoje przyzwyczajenia. Aniela nie pozwalała sobie w kaszę dmuchać, a Walercia, tutejsza kucharka, dąsała się o byle co. Żadna nie była skora do słuchania pouczeń i krytyki tej drugiej, chociaż obie, Bóg im świadkiem, chciały naprawdę dobrze. Przynajmniej na początku...

– Co robisz z tym garnkiem, kochana? – pytała przymilnie Aniela na widok wielkiego sagana w rękach Walerci.

– A bacz, czy rosół ci czasem nie kipi – dawała wymijającą odpowiedź Waleria. – Trzeba dołożyć fajerek, bo ogień za wielki.

– Już ty się o mój rosół nie martw – kwitowała Aniela. – A do pieczenia weź mniejszy garnek, bo w takim dużym trzeba dolewać zanadto wody i mięso ze smaku się wygotuje.

– Patrzcie państwo – gderała pod nosem Walercia. – Mnie poucza, a sama nie wie, żeby w wąskim garnku rosół gotować, bo z takiego szerokiego cały wyparuje.

Aniela jednak wszystko doskonale słyszała.

– W całym Sępinie dobrego garnka do rosółu nie ma – odciła się ze złością.

Niestety, te niesnaski dotyczyły również pomocnice, którym od sprzecznych poleceń aż kręciło się w głowach. Kręciło się też i burczało w pustych brzuchach, bo Walercia zacięła się i nie zamierzała wydawać dziewczkom jadła po próznicy.

Kazia, nieprzyzwyczajona do takiego skąpstwa, pomrukiwała złowieszczo po kątach, Wiesia natomiast popłakiwała pogryzając skórki chleba. Jedynie Jania i Bronia, miejscowe pomocnice, radziły sobie, podbierając coś ukradkiem ze spiżarni.

Aż raz, gdy w kuchni pojawiła się Godziewiczowa, by ocenić, jak postępują prace, Kazia, niewiele myśląc, wlaźła na krzesło, wzięła się pod boki i kołysząc się w prawo i w lewo zaśpiewała piosenkę, której dawno temu uczyła ją matka:

*Nasa gospodyni mało chleba daje
Izie do komory, gozinę go kraje.
Ukraje, ukraje jak dębowy listek
I jesce się pyta, cy ja zjem go wsystek.*

Pani Karolinie nie trzeba było niczego tłumaczyć. Oburzona, odprowadziła na stronę Walerię i zbesztala ją za złe traktowanie dziewcząt.

– Wstyd przynosisz – sapała rozsierzdzona. – W tym domu nigdy nikt drugiemu chleba nie żałował. A jeżeli jeszcze raz o tym usłyszę, wyrzucę na bruk!

Tuż przed weselem trudno było znaleźć wolne miejsce w kuchni, w spiżarni i w komorach z tego zatrzęsienia mięs, warzyw, sosów, ciast i chlebów rozmaitych. Ale kiedy Aniela nałożyła każdej z pomocnic słuszną porcję, żeby wreszcie porządnie się najadły, Walercia skoczyła jak lwica.

– Zacierki im daj! – warknęła, zasłaniając sobą stół. – Nikt tu mięsa nie będzie darmo jadł.

– Odejdź – rzekła spokojnie Aniela. – Napracowały się przez te wszystkie dni, zasłużyły na kawałek mięsa.

– Kluski niech jedzą, w sam raz dla kuchennych dziewczek – upierała się Walercia.

– A wiesz, co Pismo mówi? – rzuciła w gniewie Aniela: – „Godzien jest robotnik zapłaty swojej”. Poskarżę naszemu księdzu, to z ambony spadniesz! – dodała rozeźlona i siłą odsunęła Walerię. – Jeszcze żebyś choć swojego broniła – burczała.

Najadły się dziewczęta do syta. Waleria patrzyła na nie z ukosa i mamrotała coś pod nosem, liczyła... Kazia, która swojego czasu w Przylipiu wino i inne smakołyki dla Zygmunta podkładała, znała się na takim liczeniu.

– Psez tę sarownisę kazdy kęs mi w gardle staje – narzekala.

W ostatnią noc przed weselem Kazia zakradła się pod kuchenne drzwi, a widząc w szparze słabą smugę światła, otworzyła je znieuacka. Łojówka natychmiast zgasła od przeciągu i tylko srebrzysty księżyc przez otwarte okno ukazywał, co się tam działo. Pod oknem stał woźnica z wiklinowym koszem, a zaaferowana Walercia przekładała do tego kosza rozmaite smakołyki.

– Ratunku! Złozieje! Złozieje! – zakrzyknęła Kazia, ile sił w płucach, aż cały Sępin zerwał się na równe nogi.

Woźnica, zamiast wziąć nogi za pas, tylko gębę otworzył. A i przestraszona Walercia niezdolna była do ucieczki. Tym razem pani Karolina nie darowała jej winy. Kazi zaś zaproponowała posadę najważniejszej kucharki w Sępinie.

– Eee... – krygowała się Kazia. – Mnie tam najlepiej w Sylipiu...
I w Przylipiu została.

Przeddzień ślubu, na który zaproszono jedynie najbliższych, pani Karolina zajrzała do sypialni siostrzenicy. Była czerwona z przejęcia, a na czoło wystąpiły jej kropelki potu.

– Antonino – zaczęła wzruszona. Wytarła chusteczką czoło i przysiadła na brzeżku krzesła. – Nigdy nie pomyślałam, że w takim dniu nie będzie już na tym świecie mojej siostry – chlipnęła. – Ani szwagra... I że ich jedyną córkę ja będę miała zaszczyt poprowadzić do ołtarza... – Przerwała, otarła płynącą po policzku łzę, potem przyłożyła dłoń do piersi i zaczęła ciężko dyszeć. – Jezusku – jęknęła. – Ile mnie to zdrowia kosztuje.

Odpoczęła chwilę i przemawiała dalej:

– Dlatego radę, którą powinna dać ci matka, usłyszysz z moich ust: zapamiętaj na zawsze, żebyś nie pozwoliła żadnemu mężczyźnie pozostawać z tobą sam na sam ani chwili – mówiła z przejęciem. – Żadnemu, nawet lekarzowi, księdzu, krewnemu, Danickiemu czy innemu przyjacielowi Edwarda. Nikomu. Nieważne, czy będzie on stary, czy młody. Z żadnym mężczyzną, nie możesz być sam na sam. Nawet z tym bezrozumnym Zygmuntem. Czy rozumiesz?

Antonina najpierw spojrzała z niedowierzaniem, potem parsknęła śmiechem.

– To śmieszne, ciociu.

– Co jest śmieszne? – oburzyła się Godziewiczowa. Ciężko dysząc, podniosła się z krzesła i wlepiła w Antoninę pełne wyrzutu spojrzenie. – Co widzisz w tym śmiesznego? Moja babka przestrzegała tak moją matkę. Z kolei moja matka twoją świętej pamięci mamusię i mnie. A ja przestrzegam ciebie, więc co jest takie śmieszne?

– Byłam na wojnie, ciociu – powiedziała Antonina. – Każdego dnia byłam sam na sam z jakimś mężczyzną. Zdarzali się

mężczyźni ranni w takich miejscach, że trzeba było obnażyć całe ich ciało, więc - z całym szacunkiem - to, co ciocia opowiada, jest dla mnie śmieszne.

- Boże, zmiłuj się - przeżegnała się Godziewiczowa. - Gdybym wiedziała, że ty na takie bezceństwa patrzeć będziesz, nigdy nie puściłabym cię na żadną wojnę - wymamrotała i drobiąc, pospiesznie opuściła pokój siostrzenicy.

Ślub był w samo południe.

Śnieg padał tak obficie, tak cicho i tak miękko, że stąpanie po nim wydało się Edwardowi profanacją. Ciężkie płatki lgnęły do welonu Antoniny, zmieniały się w krople, zdobiły go na podobieństwo połyskliwych pereł. Edward wypatrzył pod delikatnym tiulem profil ukochanej i różowy płatek jej ucha. Z czułością obserwował, jak w nerwowym oddechu rozchylają się jej usta, rozszerzają nozdrza, unoszą się i opadają rzęsy. Nad karkiem Maryna wpięła w zwinięty węzeł włosów drobne białe różyczki. I nagle jeden nieposłuszny kwiatek wysunięty do połowy... Nie sposób o nim nie myśleć. Edward chciałby go dotknąć, poprawić, ale chyba nie wypada, poza tym Antonina stoi zbyt daleko.

A oto już przed nimi zmęczona twarz księdza. Lekko przy-mglone i wypłowiałe oczy. I słowa, które trzeba za nim powtarzać. One gładko wysuwają się z ust, obiegają mury kościoła, wracają echem i trafiają wprost do serc.

- Ja, Edward, biorę cię, An... Weroniko, za żonę i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy jedyny i wszyscy święci.

Śnieg padał obficie i grubą warstwą ułożył się na ścieżce. Zgrabny bucik Antoniny ugrzązł w zaspie, wypełnił się lodowatą

wilgocią. Ciężkie płatki spadały na welon, niemal czuła tę zimną strużkę, jak zamienia się w krople i płynie na kark. Edward stoi zbyt blisko, denerwuje ją ta bliskość i to, że może poczuć na policzku jego oddech. Zresztą wystarczy jeden niewielki krok, by nadepnął na jej suknię.

Antonina podziwia go za spokój.

Brązowe oczy ledwo musnęły jej ukrytą pod welonem twarz, szybko otaksowały suknię, starannie ułożoną fryzurę i zapatrzyły się gdzieś w dal. O czym myśli? O kim? O Elizie?

Jak patrzyłby Tomasz? Może jego palce przesuwałyby powolutku powietrze, dążyłyby do jej dłoni? Może przeżykałby nerwowo ślinę przed złożeniem przysięgi? Może uśmiechnąłby się i szepnął: „Kocham cię, Ruda...”.

Ksiądz ma brodawkę na brodzie i worki pod zmęczonymi oczami. Uwagę Antoniny przykuwa krzywy ząb, widoczny za każdym razem, gdy otwiera usta.

– Ja, Weronika, biorę cię, Edwardzie, za męża i ślubuję ci miłość, wierność, posłuszeństwo i uczciwość małżeńską oraz, że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie...

To nie ja, Edwardzie. Nie ja ci to wszystko ślubuję. I nie ja będę twoją żoną, tylko wymyślona przez cię Weronika Lisicka...

Drżąca plama słońca rozlała się po powiekach i policzku Antoniny. Ledwie zauważalny grymas nie umknął uwadze Edwarda, który obudził się jakiś czas temu i teraz z czułym uśmiechem obserwował śpiącą żonę. Ostrożnie odgarnął palcem rdzawe kosmyki włosów i wsunął jej w ucho wilgotny, ruchliwy język. W pierwszej chwili naprężyła się pod tym doznaniem jak kotka, a jej wargi rozchyliły się w rozbawieniu. Za chwilę jednak półotwarte zielone oczy pociemniały z gniewu.

Wycofał się z tych pieszczot bez złości. Przez półtora roku przyzwyczał się, że Antonina potrzebuje czasu i odpowiedniego nastroju. A on potrzebuje jej przyzwolenia.

Mimo niedzieli zza uchylonego okna od dawna dobiegały odgłosy wstającego dnia. Porykiwanie krów wyprowadzanych na pastwisko, brzęczenie wiader, w których pieniło się mleko z porannego udoju, nawoływanie drobiu, kogucie manifestacje z wysokości drabiny opartej o kurnik, kurze sprzeczki i kacze debaty, które brzmiały czasem jak skarga, a czasem jak urągliwy śmiech. W ten podwórkowy gwar wdarł się nagle krzyk Zosi i tylko dlatego młodzi państwo Stalicy zerwali się z łóżka i podbiegli do okna.

Był wprawdzie środek lipca i od kilku dni panował upał, ale nawet ten fakt nie powinien tłumaczyć Zosi, która w samych tyłko majteczkach z długimi ozdobnymi nogawkami uciekała przed zrozpaczoną jej zachowaniem Wandą. Dziewczynka krzyczała przy tym i oganiała się od opiekunki usiłującej włożyć jej jasną, haftowaną sukienkę.

Edward zmarszczył czoło i zaczął ubierać się pospiesznie, mrużąc coś gniewnie pod nosem. Antonina zaśmiewała się do łez.

– Paradna jest Zosia, Edwardzie! Ile w niej zadziorności i nie-
spożytej energii!

– Pięknie, te objawy buntu nazywać energią – obruszył się. – Tymczasem ja doprawdy nie wiem, co z niej wyrośnie.

– Kobieta! – śmiała się Antonina. – Prawdziwa kobieta, Edwardzie. Takich nam trzeba na dzisiejsze czasy.

– Takich nam trzeba? – podszedł blisko i zsunął ramiączko jej nocnej koszulki. – A mnie takich jak ty potrzeba, kochanie – otoczył ją ramieniem i przyłgął ustami do jej karku.

Odsunęła się i spojrzała na niego zimno.

Westchnął.

– Pójdę ujarzmić tę małą czarownicę. – Ostatnich słów nie wymówił w złości, lecz czule, jak zawsze gdy chodziło o jego niespełna sześćioletnią córeczkę.

– Idź już, idź – Antonina popchnęła go lekko w stronę drzwi, sama zaś umknęła za parawan, odświeżyła się w rześkiej wodzie i zadzwoniła po Józię, żeby ta pomogła jej przy włożeniu niedzielnej sukni i okiełznaniu rudych loków.

Tylko świąteczne śniadania bywały tak wykwintne. W tygodniu jadano skromniej, nikt nie miał czasu na celebrowanie posiłków, poza tym Rozalia nie widziała powodu do zbyt-
nego rozpieszczania domowników w tak trudnych i niepewnych czasach. W niedzielę sprawy miały się inaczej, bo do dworku

zaglądali goście. Ot, choćby Godziewiczowa. Odkąd dopięła swego i doprowadziła do ołtarza Antoninę, lubiła osobiście sprawdzić, jak układa się młodym. A ponieważ należała teraz do rodziny, bez skrępowania przedłużała wizyty do wieczora.

Również Danicki, jeśli tylko rozdrażniło go zrzędenie żony, sadzał przed sobą na koniu dziesięcioletniego syna, Jędrka, i zostawiwszy Helenę z córkami, kłusował łąkami na przełaj, do Przylipia. Tutaj miał nadzieję rozegrać partyjkę szachów z Edwardem lub pogawędzić z nim przy zimnym piwie w altanie.

Jedynie Felicja unikała Stalickich. Do złożenia wizyty musiały ją skłonić ważne rodzinne uroczystości albo wyjątkowo dobry nastrój, ten zaś nie zdarzał się prawie nigdy.

Tego dnia dopisali wszyscy. Rozalia omiotła wzrokiem stół. Dyskretnie dała znać Alojzemu, by półmisek z warzywami ustawił bliżej Godziewiczowej, a pasztety usunął z zasięgu jej wzroku. Pani Karolina musiała się pilnować i przestrzegać diety zaleconej przez doktora, a niestety brakowało jej silnej woli. Zygmunt błędził wokół stołu, zabierał gościom kieliszki i burczał na Alojzego, który usiłował mu w tym przeszkodzić. Wacław w tym czasie nalewał z porcelanowego dzbanka kakao dzieciom. Szmer głosów nad stołem zlewał się w jedno brzmienie i na podobieństwo brzęczących pszczoł krążył wokół głowy Rozalii. Starła się wyłapywać ważne informacje, które przynieśli z sobą goście, dopóki nie zakłócił ich pełen pretensji głosik Zosi:

– Ja chcę więcej kakao! Poproszę pełną filiżankę.

– Zosiu – upomniała ją Wanda. – Nie utrzymasz w ręczce pełnej filiżanki. Kiedy wypijesz swoją porcję, poprosimy o repetę, dobrze?

– Staś ma pełną – upierała się dziewczynka. – Jędrak też.

– Chłopcy są starsi od ciebie i silniejsi – przekonywała Wanda.

Zosia wydeła usteczka i wbiła wzrok w siedzącego naprzeciw brata. Staś miał prawie czternaście lat i bezsprzecznie stanowił dla niej największy autorytet.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

